

W „pal to sześć” jedynie rolę słowa „to” rozumiemy. Ale to nam wystarcza. Bo rozumiemy się „wpół słowa”. Zbiór fraz skrzydlatych, dających aluzje do całego bogactwa sytuacji, tworzy naród, społeczność, grupę zawodową. I.E. Littlewood pisze, że jeśli widzimy na tablicy wzór i słyszemy szmer zainteresowania, to mamy przed sobą matematyków. Rodacy długo przebywający na obczyźnie w czasie spotkań ze sobą mogą powiedzieć w kilku słowach tyle, ile z obcymi w ciągu tygodni, kiedy każdą oczywistość musieli poprzedzać wyjaśnieniami, nie wychodząc przez to w tych rozmowach poza poziom chłopców. Nici wiążące naród, społeczność, grupę zawodową są nieraz bardzo delikatne, uwidaczniające się np. wymawianiem nierozłącznym „namszę”. Obcy student musi długo pobyc w Polsce, by wtrącić, że „to jest u Leji”, a nie oznajmiać, że „w podręczniku Franciszka Leji”.

Do rozumienia się wpół słowa przyczyniał się wspólny kiedyś nam wszystkim *Elementarz* Falskiego, te same słupki z *Arytmetyki* Rusieckiego i ten sam język dowodów *Geometrii* Zydlera. Teraz własny „oryginalny” elementarz może wydać każde wydawnictwo. Na dziesięć sposobów możemy nauczyć się historii Polski, a historii powszechnej na sto. A matematyki? Z wiarygodnego źródła wiem, że Ministerstwo zatwierdziło 25 programów dla gimnazjów. Napisanie 25 różnych programów nie jest żadną sztuką, bo trudno pomyśleć, by jakieś dwie niekontaktujące się osoby mogły napisać to samo. Sztuką byłoby napisać jeden wspólny program przez wspomnianych dwudziestu pięciu. Chociaż nie byłoby nic złego, jeśliby opracowano dwa programy, jeden dla myślących refleksyjnie, a drugi nastawiony na efektywność w rozwiązywaniu zadań. Te dwa rodzaje umysłowości dobrze mogłyby się później wzajemnie uzupełniać. Najbardziej jednolici są dotąd poloniści. Łączy ich Mickiewicz. Ale minie rok jubileuszowy i każda szkoła wybierze sobie własnego noblistę.

Rozmnożyły się szkoły wyższe, mnożą się dalej i nie widać, by ktoś chciał temu zapobiec, bo jak nie cieszyć się ze wzrostu? Ale kiedyś zapleczem uniwersytetu bywało miasto zasobne w księgozbiory, ze społecznością ludzi wykształconych, od dawna tam zamieszkujących. Nie księgozbiory i uczona społeczność tworzą obecnie nowe uczelnie, lecz profesorowie zjawiający się pociągami inter-city raz na tydzień i kserokopiarnia. Dobrze, jeśli student przyjeżdża nie tylko na niedzielę. Język biznesu, którego tam uczą, nie mierzy tak wysoko, jak *disce puer latinae*. Ale uczony też się nim posługuje. Na *workshope*, w którym bierze udział wie, kiedy powiedzieć *take*, kiedy *look*, a kiedy – na party – *o! my gad!* Ktoś powie, że nie potwierdza tego żaden przykład. Nie szkodzi, bo to jest średnia krajowa.

Treść kształcenia na poziomie wyższym już oddawna przestała być przedmiotem obserwacji jakiejś wspólnej zwierzchności. Rozumiemy to, jeśli chodzi o lata wyższe i poziom doktorski. Studenci pierwszych dwu lat dostają co semestr wykłady w postaci tzw. *units*. Perfekcyjnie podany materiał bije chłodem i nie budzi emocji poznawczych. W konkurencyjnym uniwersytecie też są *units* – bywa, że złagodzone systemem *potokowym* – ale te *units* są inne. Absolwenci tych uniwersytetów już się nie porozumieją. Nie ma – przyjętych za wspólne – podręczników dla podstawowych przedmiotów. Przeniesienie się w czasie studiów studenta z jednego uniwersytetu do drugiego jest niemożliwe. Poziom wykładów wyśrubowany bywa do maksimum. Zdarza się, że zaczyna się od przestrzeni Banacha, i że na pierwszym roku student poznaje twierdzenie Gödla. Wynika to bardzo często z kompleksów, którym ulegają wykładowcy. Rozbudowuje się symbolikę i nazewnictwo, energia tracona jest na utrzymanie poprawności.

Nacisk na poprawność jest największą plagą naszego nauczania. Jest to trudny do postawienia zarzut, bo przypomnijmy jak to Krasicki zarzucał królowi: *jesteś za dobry!* W przypadku poprawności nie chodzi o przekroczenie pewnej jej miary, lecz o to, że bywa ona „zamiast”. Później mistrzowie poprawności – każdy w innym stylu – spotykają się i żadne argumenty nie zbliżą ich już do siebie.

Ustalą tak modny dziś protokół rozbieżności. Bo zbliżyć mogą jedynie poglądy.

Popieramy twórczość, ale doświadczeni w tej materii wiedzą, że i twórczość powinna być ujęta w ryzyko, i to tym silniejsze im bliżej jesteśmy materiału klasycznego. Tymczasem wcale nietrudno jest wyjść u nas za zgodą MEN ze swoim Pitagorasem czy Euklidesem. To dziwne, jeśli się słyszy, że można dostać parę lat za pirackie nagranie rudo-czarnych. Ale, z drugiej strony, Sienkiewicz może kręcić każdy.

Prostym zakazem tych spraw się nie rozwiąże. Euklides w oryginalnym ujęciu jest nieczytelny i konieczny jest komentator. Ale nie każdemu powinno się dawać patent. Znają ten problem grupy zawodowe, nie pozwalając wykonywać zawodu w sposób dowolny. Nawet poeta nie pozwala nazwać sonetem wiersza nie spełniającego określonych wymagań cechu. Ale grupy zawodowe tracą ostatnio wpływ na to, co się w ich zawodach dzieje. Wielość źródeł zasilania o niewiadomym pochodzeniu doprowadza te grupy do rozpadu. Doktryny kierujące powstałymi na ich miejscu mniejszymi grupami są przypadkowe, a poczynania egoistyczne, nie krępowane ideą ogólną.

Problem wspólnego podręcznika jest jednym z kamyków w ogromnej lawinie problemów, które przyniosła nam nowa sytuacja. Znikają więzy społeczne, redukowane do umiejętności wzajemnego się popierania. Koleżeństwo istniejące jeszcze w szkole wypierane jest stamtąd skutecznie przez system ocen, świadectwa z paskami i dyplomy ze stopniami, na których stopień dostateczny jest niczym innym niż wilczym biletem w życie. Zrankingowano uczelnie i nie wiadomo, co znaczy ukończenie uniwersytetu. Specjalności są coraz węższe naprzekór temu, co postulują światli publicyści, by studia były ogólne i nadawały przede wszystkim kierunek. Jest więc ekologia, informatyka, matematyka aktuarialna etc. etc., na każdej uczelni uczone inaczej. Jeśli to się utrwali, nie będzie więzią nawet wspólny zawód.

Słyszymy, że jest to pożądanym kierunkiem. Ten sąd jest skutkiem posługiwania się hasłami i zakłęciami bez konfrontacji ich z faktami. Wtedy bez problemów gotowimy utożsamić pluralizm z bogactwem idei, liberalizm z wolnością, a demokrację z rządami ludu. Tymczasem oddawany głos jest nieraz całym naszym majątkiem, wzmacnianie więzów rodzinnych – z czego się tak cieszymy – jest rekompensatą za utracone więzy społeczne, a pluralizm plepleryzmem.

Tymczasem świat wokół nas kultywuje idee i inwestuje w wielkie przedsięwzięcia. Na swój użytek ma mądre szkoły, mądre programy i mądre książki. Musi tak być, skoro wydaje wielkich uczonych i organizatorów życia. Nasz urzędowy optymizm rozmija się z tym obrazem, jednostronne rozbrojenie jest niewskazane i pora na odwrócenie fatalnego trendu. Należy zacząć od „ksiąg elementarnych” wybranych w wymagającym konkursie, aby po kilkunastu latach mieć na warsztacie serię podręczników uniwersyteckich. Sił w postaci ludzi wykształconych nie brak, ale brak zorganizowania w skali państwowej.

* * *

P.S. Wszystko to mogło być napisane w postaci poważnego memoriału. Ale autor wybrał konwencję felietonu, nie widząc się upoważnionym wypowiadać się „za miliony” i wieszczyc, że „w obcy się naród”. Jeśliby chcieć dyskutować nad poruszonymi sprawami, ton musiałby być poważny, bardziej skoncentrowany na poszczególnych problemach, wolny od wspomnianego wyżej patosu, jak również od felietonowych prowokacji. Autor dołączyłby do takiej dyskusji.